



HIPNOZA

BARTŁOMIEJ BASIURA

[Poniższe fragmenty nie przeszły profesjonalnej korekty. Ostateczna forma może różnić się od załączonych tekstów]

OD AUTORA

Od tego wszystko się zaczęło. Zmieniamy się, a obserwacja tego procesu to przygoda, z którą przyszło mi się zmierzyć, bo nie ma lepszego narzędzia do kumulowania wspomnień jak właśnie książki.

Pamiętam ten dzień. Napisałem maturę, rozpoczęły się najdłuższe wakacje mojego życia i postanowiłem podjąć kolejne wyzwanie, którym było napisanie książki.

Nigdy nie potrafiłem poskromić własnej wyobraźni, a najtrudniejszym zadaniem okazywało się podporządkowanie trendom i życie według schematu. Wszechobecny wyścig szczurów zaprowadził mnie do punktu, gdzie wyrzuciłem konwencję z własnego świata i przystąpiłem do stworzenia czegoś innego.

Teraz, kiedy sięgam do „Hipnozy”, dostrzegam świat widziany z perspektywy osiemnastolatka – te ideały nie skażone realiami, którą miałem w kolejnych latach okazję poznać – tę filozofię, która kształtowała moje światopoglądy. Czasem zastanawiam się skąd miałem takie pomysły, co było moją inspiracją. Jeśli pewnego dnia poznam odpowiedź, chętnie się z nią Wami podzielę.

Podobno człowieka poznaje się nie po tym jak zaczyna, ale jak kończy, z drugiej strony prolog może determinować odbiór całej trylogii. Polecam pozostałe części – „Ucznia Carpzoza” oraz „Zamkniętą Prawdę”, dostępne również w formie elektronicznej.

Przez ostatnie pięć lat nic nie zmieniło się w kwestii przesłania, że zapraszam Cię na intelektualną grę metafor i manipulacji, oszczerstw, kpin i pytań, na które odpowiedź będziesz musiał znaleźć sam.

Hipnoza to niezwykle stan świadomości i poddania, kiedy poddajesz się pewnej sile zewnętrznej i to ona determinuje Twoje działania. Możemy ulec instrukcjom lub iść pod prąd. W każdej pesymistycznej wizji można odnaleźć również jasną stronę – to, co widzisz może okazać się zwykłym snem.

Życzę miłej lektury.

Prolog

Sięgnęła po strzykawkę. Wiedziała, co robi. Po raz pierwszy była tego taka pewna. Nigdy wcześniej nie próbowała, ale tym razem się nie bała. Rodzice nauczyli ją, że podejmowanie decyzji jest dużą odpowiedzialnością. Zawsze zastanawiała się dwa razy. Ale teraz rodziców nie była, a ona nie miała wątpliwości. Przecież nic się nie stanie.

Zawsze bała się igieł. Takie długie, takie grube.

Sam widok powoduje ból.

Nie trafiła w żyłę. Zdziwienie. Ogarnęła ją fala spokoju. Następnym razem się uda. Popatrzyła przed siebie. Spokój. Tylko tego potrzebowała. Jeszcze raz skierowała wzrok na strzykawkę. Dlaczego właśnie ona musi to robić? I czemu akurat dzisiaj się nie boi? Jej ręka lekko zadrżała. „Teraz!” usłyszała głos w swojej podświadomości. Wyprostowała rękę. Nie umiała dostrzec żyły. „Przecież na stole jest pasek uciskowy” – otrzymała kolejną podpowiedź. Zaciśnęła go mocno na przedramieniu. Od razu poczuła lekkie mrowienie w palcach.

Silnym i zdecydowanym ruchem wbiła igłę. Chwilę się zawahała a następnie powoli zaczęła wstrzykiwać bezbarwną ciecz. Otworzyła oczy. Spodziewała się bólu. Z uśmiechem zdała sobie sprawę, że wszystko jest w porządku, czuła się wyśmienicie. Poluzowała pasek uciskowy, powoli wstała i włożyła go do pobliskiej komody. Strzykawkę umieściła w folii i szczelnie ją zamknęła. Tak po prostu należało. Podeszła do zmywarki. Włożyła dwie filiżanki. Usłyszała wir wody, która zaczęła krążyć wśród brudnych naczyń.

Poczuła lekki zawrót głowy. Znowu miała blade ręce. Zrobiło się jej zimno. Usiadła na kanapie i położyła głowę na miękkiej poduszce. Odpływała. Zamknęła oczy, bo oddychanie sprawiało coraz większą trudność.

Musi być spokojna.

Przecież jest tak pięknie. Błady uśmiech przeszedł przez jej twarz. Zdała sobie sprawę, że to już koniec, że umiera.

A on tylko patrzył.

ROZDZIAŁ 1

NIE! PRZECIEŻ TAKIE RZECZY SIĘ TUTAJ NIE ZDARZAJĄ, nie w tym miejscu. I czemu tak wcześniej? Znowu nie przygotowała śniadania Jasiowi, znowu nie zdążyła zrobić makijażu, znowu nie widziała się z Markiem. Mąż po raz kolejny nie wrócił na noc do domu. Wszystko się nie układało. Była sama, inni tylko śnili o lepszym jutro nie robiąc nic. Maria Kozielska tak wiele chciała osiągnąć, tyle zobaczyć, a wciąż tkwiła w małej wsi Opaka, codziennie dojeżdżając na niewielki posterunek w Lubaczowie. Trzymała ją tutaj już tylko bliskość pięknych bieszczadzkich lasów.

Słońce dopiero wchodziło. Było wcześnie, a wysokie na kilkanaście metrów drzewa lśniły w lekkiej poświacie poranka. Pędziła ponad sto kilometrów na godzinę. Chwilę później stanęła z piskiem opon przed niewielkim miejskim szpitalem przy ulicy Mickiewicza. Portier skierował ją do piwnic. Nigdy wcześniej tutaj nie była, nie wiedziała jak się zachować.

Ciemno i zimno.

Lodowato.

Weszła przez stalowe drzwi do niewielkiego pomieszczenia. Na długim stole usadowionym na środku sali leżały kobiece zwłoki. Obok stał już lekarz. Przy ścianie ujrzała sylwetkę Roberta, jej przyjaciela ze służby. Był młodszy, niejednokrotnie razem wyjeżdżali na patrole, gdzie właśnie do Kozielskiej, jako starszej stażem, należało ostatnie słowo. Trudno mu było się pogodzić z myślą, że to kobieta ma nad nim władzę, ale szybko się do tego przyzwyczaił. Maria dostrzegła w oczach Roberta fascynację. Nie raz słyszała od niego, jak narzekał na wieczną monotonię czy brak mrozących krew w żyłach pościgów rodem z amerykańskich filmów. Codziennością były jedynie małe kradzieże, pijana młodzież i fałszywe alarmy bombowe. W jego oczach można było również dostrzec strach. Strach przed śmiercią, na którą oboje właśnie patrzyli.

Znajdowali się w małym zagraconym pokoju, który zapewne wcześniej służył jako magazyn. Z uwagi na brak specjalistycznych pomieszczeń do ekspertyz sądowych, obrano to miejsce ze względu na wieczny chłód i anonimowość. Ten ostatni czynnik był priorytetem. Po raz pierwszy podczas rozmowy z przełożonym, komendantem Głowąłą, Maria słyszała w jego głosie panikę. Ten doświadczony policjant zawsze był opoką spokoju. Jego doświadczenie przekładało się na resztę – niewielką ośmioosobową załogę funkcjonariuszy, która sprawowała pieczę nad porządkiem w całym okręgu Lubaczowa.

Tego poranka komendant wezwał ją w trybie natychmiastowym, nakazał jej jechać prosto do szpitala, wziąć dokumentację sporządzoną przed lekarza medycyny sądowej i przyjechać do „główniej bazy”, co było potoczną nazwą niewielkiego komisariatu przy ulicy Chrobrego. Prosił o dyskrecję. Zabójstwa zdarzają się w tej okolicy bardzo rzadko. Dziesięcioletni staż Marii nie pamiętał takich wydarzeń. Wszelkie próby zakłócenia porządku wywoływały automatycznie zainteresowanie prasy, a tego woleli uniknąć.

Maria podeszła bliżej stołu. Dostrzegła niewielką tacę z błyszczącymi na niej podstawowymi instrumentami chirurgicznymi i noża, które bardziej przypominały te, które używała do krojenia mięsa we własnym domu. Zawsze bała się wszelkich strzykawek, wcześniej nie miała żadnej operacji i choć teraz była biernym obserwatorem czynności lekarskich, pomyślała, że nie chciałaby, aby taka sekcja była przeprowadzana na niej.

– Dzień dobry! – powiedziała cicho, wręcz szeptem, jakby bała się, że ofiara ją usłyszy i się obudzi. Przyjechaliśmy po wstępne ekspertyzy dotyczące sekcji. Mamy je zawieść na posterunek – lekarz widząc przerażenie malujące się w jej oczach, delikatnie się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Nie przerywał sekcji.

Był on wysokim mężczyzną powyżej pięćdziesiątki. Ciemne kosmyki włosów powoli pokrywały się siwizną. Nocny zarost wskazywał, że podobnie jak Kozielska został nieoczekiwanie wyrwany z błęgiego snu. Jego ruchy były szybkie i zdecydowane. Maria nie lubiła widoku krwi, więc teraz unikała patrzenia na zwłoki młodej dziewczyny. Nie trwało to długo, stali w milczeniu czekając na jakiegokolwiek konkluzje. Lekarz zaczął powoli zszywać rozciętą skórę, co wskazywało na to, że pierwsze czynności sekcji zwłok zostały zakończone.

Kwadrans minut później podpisał kilka kartek i włożył do czarnej teczki. Wszystko przekazał Kozielskiej.

– Straszne! – z końca sali dobiegł stłumiony głos Roberta.

– To była dobra śmierć – po chwili odparł lekarz. – W swoim zawodzie spotkałem się z wieloma metodami popełnienia zabójstwa. Określanie jej, jako dobrej lub złej może się państwu wydać śmieszne, ale jak inaczej można nazwać śmierć spowodowaną przebicciem wątroby, kiedy to człowiek wykrwawia się ponad piętnaście minut, w bólu, i co gorsza, ze świadomością, że zaraz umrze i już nic nie może mu pomóc? W tym przypadku jestem przekonany, że ta kobieta, którą tu widzicie, wiedziała, co ją czeka. Umierała stosunkowo krótko, i co najważniejsze, w spokoju. To była dobra śmierć.

W sali zaległa cisza. Maria popatrzyła w stronę Roberta. Te słowa do niego jeszcze nie dotarły. *Dobra śmierć*. Sama nie wiedziała, co o tym sądzić. W jej pamięci nadal tkwiła sylwetka ojca, który zginął na służbie. Chciał uratować małe dziecko, leżące w samochodzie, który uległ wypadkowi. Kiedy tata podszedł bliżej pojazdu, doszło do wybuchu. Wydarzenie to stało się impulsem dla Marii, zrezygnowała ze swoich studiów biologicznych i wstąpiła do Akademii Policyjnej.

Dobra śmierć...

Czy jej tata chciał tak zginąć? Czy była to dobra śmierć?

Nie wiedziała, co lekarz miał na myśli mówiąc, że ta kobieta umierała w spokoju. Nie знаła jeszcze sprawy. Nie była pewna czy chce poznać.

Wzięła teczkę, pożegnała się z lekarzem. Wsiadli do radiowozu. Jechali przez puste ulice budzącego się miasteczka. Maria pomyślała, że zaczyna się piękny słoneczny dzień. Sprawdzian wytrzymałościowy. Była świadoma swojej nadwagi, po urodzeniu Jasia, nie potrafiła wrócić do wcześniejszej formy. Uśmiechnęła się. Wyciągnęła batonik i zjadła nie martwiąc się o kalorie. Teraz już była gotowa, aby zmierzyć się z tym wyzwaniem.

ROZDZIAŁ 2

SIEDZIAŁ I GAPIŁ SIĘ. PROSTO PRZED SIEBIE, prosto na obraz. Jak zwykle te oczy były takie nieprzeniknione. Bezwyraz. Bezuczuciowość. Bezsensowność. Ale jakie to piękne. Ciężko było odebrać wzrok.

Był z siebie dumny. Wykonał zadanie bezbłędnie. Wszystko tak jak było zaplanowane.

Prawie. Ale w końcu to była jego pierwsza misja. Teraz pozostało cierpliwie poczekać. Spojrzał jeszcze raz. Obraz wisiał w zaciemnionym miejscu i gdyby nie mała lampka nocna, zapewne nie dostrzegłby jego twarzy.

Czego chcesz mały chłopczyku? Co się gapisz malutki? Przecież miał z tym obrazem tyle wspólnych wspomnień. Zawsze mu towarzyszył – kiedy płakał albo podejmował ważne decyzje. Te oczy wskazywały mu drogę. Tak było również wczoraj.

Odwrócił się w stronę lustra. Dopiero teraz zaczynał korzystać ze swoich wdzięków. Uroda sprzyjała geniuszom. Wrócił do własnego pokoju, który urządzone był na kształt staroświeckiej izby grzeszącej swoją prostotą. Obmył twarz i zaczął się przygotowywać do kolejnego zadania, jakie zaplanował sobie na dzisiejszy dzień.

Był pewny, że wszystko mu się uda. Nie było innej możliwości.

ROBERT PEWNIE MANEWROWAŁ KIEROWNICĄ RADIOWOZU. Choć początkowo Maria nie zgadzała się, aby to właśnie on prowadził samochód, szybko się przekonała o jego zdolnościach i dała przyzwolenie. Młodszy kolega ze służby był niskim blondynem o sportowej sylwetce. Zawsze reprezentował komisariat w Lubaczowie na wszelakich konkursach organizowanych w kręgach policyjnych, które dotyczyły siły fizycznej, jak również umiejętności strzeleckich. Młodość i swoista świeżość Roberta były bardzo cenione. Ludzie unikali go jednak ze względu na dość dziwne upodobania. Młody posterunkowy pasjonował się historią. W czasie rozmów często porównywał różne zdarzenia w odwołaniu do znanych postaci historycznych, co dla człowieka z zewnątrz, który wcześniej go nie znał, było co najmniej dziwne i niedzisiejsze. Maria szybko przyzwyczaiła się do jego „odmienności”, a Robert opowiadał jej często fascynujące historie, o których nie dowiedziałaby się z podręczników szkolnych. Ceniła jego inność, bo sama często miała świadomość, że nie pasuje do tego środowiska. Jako niedoszły biolog zawsze miała na bakier z historią, więc z zasady była niestety biernym słuchaczem.

Dojeżdżali do komisariatu. Ulica Chrobrego znajdowała się w samym centrum. W godzinach o wysokim natężeniu ruchu drogowego, dojazd mógł zająć dłuższą chwilę, ale teraz miasto wyglądało jak wymarłe. Maria trzymała w rękach czarną teczkę. Zwłoki młodej kobiety wstrząsnęły nią, mimo, że w trakcie studiów niejednokrotnie była narażona na takie widoki. Czy to było samobójstwo? Myśl o zabójstwie była dla niej niemożliwa – nie tutaj. Lekarz musiał się pomylić, ale wołała poczekać aż pozna szczegóły sprawy.

Weszli do środka. Wszyscy już na nich czekali. Kozielska dostrzegła osoby, których nigdy wcześniej tutaj nie widziała. Oprócz swoich kolegów, z którymi pracowała na co dzień, zobaczyła wysokiego, przysadzystego szatyna, który rozmawiał właśnie z komendantem Głowąłą. Obok Czynickiego, czyli policjanta, który pracował na komisariacie w Lubaczowie jako informatyk, siedziała młoda brunetka. Miała smukłą cerę i delikatne rysy twarzy.

Kozielska podała przełożonemu czarną teczkę. Chyba wszyscy na to czekali, bo nastąpiło ogólne poruszenie. Odstąpili od wykonywanych wcześniej czynności i zgromadzili się wokół komendanta czekając na informacje i dyspozycje.

Ich główna baza przy ulicy Chrobrego była niewielka, składał się jedynie z czterech pokoi, z czego jeden był zajmowany przez komendanta, kolejny przez Czynickiego, u niego znajdowała się również cała dyspozytorka. Największy pokój należał w całości do pozostałej reszty, która na co dzień zajmowali się patrolowaniem ulic i robotą papierkową. Ostatni pokój był pierwotnie pokojem przesłuchań, ale nie znalazł zastosowania i teraz służył jako magazyn i archiwum. Ten parterowy budynek znajdujący się w centrum miasta, przypominający budowę wojskowy barak, który sukcesywnie niszczył obraz pięknych, renesansowych zabudowań Lubaczowa, posiadał również piwnicę, która pod względem rozmieszczenia, była kopią parteru. Mieściła się tam mała cela dla drobnych złodziei i podejrzanych. Reszta pomieszczeń pozostawała niezagospodarowana. W okresie zimy komendant pozwalał spać tam bezdomnym. Było to jednak nieformalne i teoretycznie taka praktyka nie istniała.

– Mamy do czynienia z trudną sytuacją – zaczął Głowala. Obok niego nadal stał tęgi szatyn. Maria dostrzegła, że co jakiś czas komendant zerka na niego szukając potwierdzenia własnych słów. – Znalezione zwłoki Teresy Wójcik. Dziś rano o godzinie czwartej, posterunkowy Czynicki dostał wezwanie. Zadzwoń do nas matka zmarłej. Już wczoraj wieczorem prosiła o sprawdzenie, czy z córką wszystko w porządku. Miały się ze sobą skontaktować, oczekiwała na telefon od córki, do tej pory nigdy podobna sytuacja się jej nie przydarzyła.. Dzwoniła potem również do jej znajomych. Nikt o Teresie nic nie wiedział. Wysłaliśmy do jej domu Joasię i Tadka. Dom Teresy znajduje się w odległości około dwóch kilometrów od Dachnowa. Znalezione ją leżącą na sofie. Już nie żyła.

Nastąpiła chwila przerwy. Czynicki podszedł do komputera i włączył projektor. Na ścianie ukazał się obraz. Najpierw mapa okolicy. Czerwoną kropką zaznaczono miejsce zamieszkania Wójcik.

Był to środek lasu. Tam gdzie nic innego nie ma.

Pojawiło się kolejne zdjęcie. Jakość była słaba. Maria domyśliła się, że widzi przed sobą dom zmarłej. Wysoki na dwa metry murowany płot w dużej części zasłaniał dom z czerwoną dachówką.

– Teresa Wójcik mieszkała na uboczu, dom otoczony jest ze wszystkich stron przez las. Jej posiadłość to swoista twierdza, tak przynajmniej wynika ze sprawozdania Joasi i Tadka. – Głowala zerknął porozumiewawczo na dwójkę funkcjonariuszy. – W momencie, kiedy nikt nie odpowiadał na dzwonek domofonu, funkcjonariusz Renes – komendant wskazał na Tadka – spróbował otworzyć furtkę. Gdy i te działania te nie dawały skutków, przeskoczył przez płot. Automatycznie rozległ się alarm. Dom posiadał instalację przeciwwłamaniową firmy Tralex. Jest to alarm pierwszej generacji – wyjaśnił komendant, choć Maria miała świadomość tego, że sam do końca nie wie o czym mówi. – Przy wejściu były umiejscowione dodatkowe czujniki, które monitorowały posiadłość. Wyłączyć alarm mógł tylko właściciel, konieczne było wprowadzenie dwunastocyfrowego kodu. Drzwi wejściowe były zamknięte, podobnie jak wszystkie okna i wyjście z drugiej strony domu wychodzące na niewielki ogródek.

Maria mogła również inaczej wytłumaczyć fakt, że nikt nie otwierał drzwi. Normalni ludzie o godzinie czwartej śpią. Nie widziała w tym nic wyjątkowego. Skoro Teresa Wójcik mieszkała tam sama, mogła po prostu przestraszyć się niepowołanych gości, tym bardziej, że prywatność jest bardzo ceniona w tych okolicach.

Projektor zaskoczył i ukazała się kolejna fotografia. Dom był bardzo przestronny. Maria wiedziała, że w tych okolicach jest wiele takich posiadłości. Zamieszkiwali je ludzie bardzo zamożni, którzy ze względu na swoją przeszłość mogli na tych terenach znaleźć schronienie i spokój. Domy te były fortecami niedostępnymi dla osób z zewnątrz. Instalowano tam sprzęt antywłamaniowy najnowszej generacji. Tacy ludzie chcieli być niewidzialni i nie lubili nieproszonych gości.

– Z pierwszych ustaleń techników, którzy na moją prośbę zostali przysłani prosto z Krakowa przez Franciszka Aleszkiewicza – Głowala wskazał na szatyna stojącego tuż obok niego – wynika, że alarm był wyłączony ostatniego wieczoru dwukrotnie. Najpierw od godziny 17:00 do 19:00, następnie od 21:00 do 22:30.

– Czy to jest ważne? Właściwie nadal nie rozumiem dlaczego, mnie tu wezwano – odezwała się brunetka, ta sama, która wcześniej siedziała obok Czynickiego.

– Przedstawiam państwu – komendant zdał sobie chyba sprawę, że powinien to zrobić na początku – Dorotę Maj. Poprosiłem ją o przysługę. Dziękuję ci, że zjawiłaś się tak szybko – tym razem zwrócił się prosto do Doroty patrząc jej prosto w oczy. – Jestem przekonany, że twoja wiedza i umiejętności będą nam bardzo potrzebne. Proszę państwa! – jego niski głos delikatnym echem rozchodził się po białych ścianach pokoju. – Mamy do czynienia z okrutnym zabójstwem.

Maria wydała zduszony dźwięk. W oczach Roberta dostrzegła iskrę fascynacji. Na ścianie pojawiło się kolejne zdjęcie. Na dużej sofie leżała kobieta. Jej twarz była biała, wręcz sina. Znajdowała się zapewne w jakimś salonie, bo Maria dostrzegła w oddali telewizor plazmowy i wieżę do odtwarzania muzyki. Na ścianach wisiały zdjęcia oraz obrazy. Wygląd pokoju pasował w jej mniemaniu do wzoru wielkich luksusowych przestrzeni, jakie występują jedynie w wielkich ekskluzywnych apartamentach.

– Z całym szacunkiem panie komendancie – Dorota Maj zwróciła się w stronę przełożonego Marii. W jej głosie słychać było siłę i pewność siebie. Dodatkowo nutę zniecierpliwienia, jak gdyby chciała jak najszybciej stąd wyjść. – Dlaczego jest pan taki pewny, że popełniono zabójstwo? Nadal nie rozumiem mojej roli w tej całej sytuacji.

– Po kolei – komendant zerknął na ścianę, gdzie ukazało się nowe zdjęcie. Maria domyśliła się, że zostało wykonane już przez techników kryminalistyki, bo jakość zdjęcia była nieporównywalnie lepsza, a kadr koncentrował się na detalach. – Na zdjęciu widzicie państwo Teresę Wójcik. Lekarz medycyny sądowej określił godzinę zgonu na około 22:30. Wstępna analiza wykazała, że w krwi znalazł się środek uspokajający – Głowala zerknął na czarną teczkę, która teraz znajdowała się tuż przed nim. – Była to duża dawka Tranxeny. Z notatek lekarza wynika, że były również śladowe ilości Alprazolamu. Na dalsze ustalenia musimy poczekać, ale wygląda na to, że właśnie to było powodem zgonu.

Kozielskiej to niewiele mówiło. Pierwszy raz słyszała takie nazwy.

Franciszek Aleszkiewicz odwrócił się, podszedł do małego okna i odebrał słuchawkę. Rozmawiał przez dłuższą chwilę, pokiwał głową, delikatnie przyglądał ciemne włosy. Dla Marii wydał się typowym facetem w średnim wieku. Przypomniały się jej słowa dziadka. Kiedy była mała, siadali całą rodziną na poobiednią kawę i herbatę. Dziadek często opowiadał niezliczone anegdoty. Kiedy jej tata skończył celebrować czterdzieste urodziny, dziadek podszedł i szepnął „Witaj brzusi, żegnaj siusiu”. Pierwsze wrażenie było równoznaczne ze stwierdzeniem, że ten człowiek zwyczajnie nie ma gustu. Pod granatową marynarką można było dostrzec niewyprasowaną, beżową koszulę. Spodnie zapewne należały do garnituru jednak kant był dość zaniedbany – zwyczajnie go nie było. Aleszkiewicz po chwili wrócił i szepnął kilka słów na ucho do komendanta. Głowala zmarszczył brwi.

– Kryminalistycy zakończyli pracę i zabezpieczyli teren. Znalezione, przepraszam – komendant uśmiechnął się cynicznie – nie znaleziono nic. Zebrano ślady z dywanu, odciski butów, wszystkie ślady linii papilarnych, jednak istnieje wątpliwość, aby przyniosło to jakikolwiek rezultat. Zapytała mnie państwo, dlaczego upieram się przy opinii, że było to zabójstwo. Mogłoby się wydawać, że to samobójstwo – ukazało się zdjęcie przedramienia Teresy Wójcik. Głowala wskazał na dwa ślady ukłucia na przedramieniu. – Igła leżała tuż obok ofiary zapakowana dokładnie w woreczek foliowy. Na strzykawce znaleziono odciski palców Teresy. Wygląda na to, że pierwsza próba trafienia w żyłę była nieudana. Lekarz określił, że czas pomiędzy wstrzyknięciem substancji a śmiercią to około dziesięciu minut. Jesteśmy przekonani, że ktoś jej w tym pomógł. Tadek wszedł do domu jako pierwszy – Kozielska zerknęła na funkcjonariusza, który teraz siedział z boku ze spuszczoną głową. – Zanim zastąpiła go grupa techników, która przyjechała w trybie pilnym na moją prośbę, zrobił kilka zdjęć. Zauważył taki szczegół jakim była zmywarka. Wszystko wskazuje, że włączyła ją ofiara kilka minut przed śmiercią, prawdopodobnie po dokonaniu zastrzyku. Przy włączniku mieściły się wyłącznie jej odciski palców. Co dziwne, w środku były jedynie dwie filiżanki. Zaskakujące, nieprawda? Przypuszczalnie robiła to pod groźbą napastnika. To, że w pokoju była druga osoba, wykazuje wskaźnik termiczny – Głowala wskazał na niewielki przyrząd, który przypominał pistolet będący na wyposażeniu każdego posterunku, tyle że zamiast lufy, mieścił się tam niewielki nadajnik i monitor. – Zabójca zostawił dla nas wiadomość – Maria zaczynała się gubić w kolejnych informacjach. – Właśnie dlatego tutaj się wszyscy zebraliśmy, właśnie dlatego zaangażowałem tylu ludzi i zawiadomiłem ogólnopolską centralę zabójstw. W laboratorium już badają zawartość strzykawki. W torbie znajdowała się również kartka. Wydaje mi się, że jest to wiadomość dla nas.

Projektor znowu przeskoczył. Przez chwilę Maria nic nie widziała. Czynicki wyostrzył obraz. Było to coś niezrozumiałego. Jakiś rysunek, znak, symbol. Cokolwiek to było, Maria widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu.



– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co to właściwie znaczy? – Głowała zerknął z zażenowaniem na swoich współtowarzyszy. – Bo widzicie, ten ktoś, kto stoi za zabójstwem Teresy Wójcik, kimkolwiek jest, czy kobietą, czy mężczyzną, czyta w moich myślach. *Contradictio in se* oznacza w języku łacińskim sprzeczność samą w sobie.

Odpowiedzią dla komendanta była tylko głucha cisza.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Jak zwykle w białym, jak zwykle się uśmiecha. Taka sztuczność – uczucie jako towar XXI wieku. Chodzi szybko, jakby bała się, że każda chwila stagnacji przybliży ją do śmierci. Ach śmiertelnicy, co wy poczniecie po śmierci.

Czasem usiądzie, pogłodzi się po swej idealnej jasnej główce, szepnie słówko. Znowu pada – „jaka piękna pogoda”. Czy jest gruba? A może chuda? Niektórzy mówią, że wygląd nie ma znaczenia. Brednie, brednie, brednie. Czasem jest chuda, czasem gruba – zależy od humoru, od punktu widzenia. Przecież wszystko można zatuszować.

Ten pan. Najpierw przychodzi, potem odchodzi. Wszystko ma swoją kolejność. Smutny człowiek – doświadczony przez życie. Czy mu współczuć? Współczuć mu to tak jakby współczuć całemu światu, bo czym się różni on od każdego innego pana „x” lub pani „y”, która krąży na tym świecie. Często siada obok mnie, czasem po drugiej stronie. Opowiada o świecie zaprzepaszczonej szans, o swoim bycie, który wciąż tli się ogniem gorących wspomnień. Mówi o zmianach, przemianach, wszelkich wybojach, przeszkodach, problemach. Patrzy za siebie, zamiast przed siebie, chociażby pod prąd, nawet gdyby miało być ciężko... przecież nie pozostaje nam nic innego.

Siedzę, ciągle siedzę. Siedzę i nic. Nie ważni są inni. Człowiek dzisiejszego dnia jest najważniejszy sam w sobie. Po co mu inni – on jest samowystarczalny. Siedzę. Jak zwykle siedzę i gapię się na te niezliczone człekokształtne postacie, które biegną przed siebie w niekończącym się wyścigu szczurów i próbują być kimś więcej, niż na to zasługują. No ale w końcu nadzieja umiera ostatnia. Niech się cieszą, póki mogą.

Czy istnieje zbrodnia doskonała? Czy można popełnić przestępstwo, zachować przy tym zimną krew, nie pozostawić żadnych śladów, być nadal bezbronnym obywatelem – niewinnym pasożytem? Przecież podobno wszystko jest możliwe. Zasada przeniesienia Edmunda Locarda – cokolwiek robimy, pozostawiamy ślad. Nie mówię tutaj o tak oczywistych kwestiach jak odciski linii papilarnych, ale wystarczy nawet małe włókno, kropla płynu fizjologicznego. Wszystko ma jakiś sens, a żeby być duchem, żeby poruszać się bez śladu, potrzeba magii.

Wszystko na tym świecie jest możliwe.

Świat obraca się do góry nogami, a my wciąż żyjemy z przeświadczeniem, że siła przyciągania jest wystarczająca aby utrzymać stabilność.

Tyle że my – ludzie, i również ja - wariat określający się mianem filozofa, widzimy tylko przestrzeń przed sobą. Czasem warto odwrócić głowę, zobaczyć co dzieje się za nami. Wszystko, co jest dookoła nas to otwarta książka, z której powinniśmy nauczyć się czytać. Patrząc tylko przed siebie, dostrzegamy tylko wstęp, który nie zawsze jest wystarczająco ciekawy by zainteresować nas dostatecznie do kontynuowania lektury.

Pusto. Ludzie lubią miejsca zaludnione. Ja też. Podobno era koczowniczego trybu życia zakończyła się kilka tysięcy lat temu. Pytanie w jakiej erze MY żyjemy. Chcąc nie chcąc poruszamy się w stadach, bo tak jest łatwiej. Mało kto odważy się samotnie wyjść na miasto, wejść do ciemnego zaułka. W grupie czujemy się silniejsi. Podstawą naszego bytu jest poczucie bezpieczeństwa. Często w zależności od uczuć, które w nas tkwią, lub z powodu naszych gabarytów, a raczej ich braku, sami nie jesteśmy w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa. Wtedy właśnie próbujemy znaleźć się w głębi większej masy, zabarykadować się we wnętrzu grupy i egzystować życiem innych będąc opancerzonym w kaftan bezpieczeństwa.

Ten pan i ta pani są sami. Szukają dla siebie miejsca i nie bez przypadku siadają właśnie obok mnie. Łakną rozmowy, chcą się czuć bezpiecznie. Czują się lepiej, że ktoś taki jak ja chce z nimi rozmawiać.

Robię im łaskę.

ROZDZIAŁ 3

CONTRADICTION IN SE. SPRZECZNOŚĆ SAMA W SOBIE. Główna miała rację. Czy ta śmierć miała jakikolwiek sens? Teresa Wójcik miała 29 lat. Pochodziła z zamożnej rodziny. Jej tata posiadał akcje w dobrze prosperującej firmie ubezpieczeniowej, a mama będąc już na emeryturze, dorabiała jako tłumacz języka arabskiego. Rodzice mieszkali w Warszawie, a Teresa przeniosła się na te tereny dwa lata temu, kiedy po zamieszkaniu w pracy postanowiła odseparować się od wcześniejszej rzeczywistości.

Contradictio in se. Po co ofiara miała sama sobie wstrzykiwać środek o bliżej nieznanym pochodzeniu, a następnie schować strzykawkę do hermetycznego opakowania? To zwyczajnie nie miało sensu. Teresa mieszkała w forticy. Kozielska nie potrafiła określić jej domu innym słowem. Jedyne czego brakowało to mostu zwodzonego i baszty z uzbrojonymi żołnierzami. Wskazywałoby to, że ofiara знаła mordercę, albo przynajmniej osobę, która przyglądała się jej w godzinie śmierci i zostawiła dla policji list. Przez pewną chwilę przypuszczano, że jest to list pożegnalny Teresy, jednak jego treść była dla policjantów dalej niezrozumiała. Mimo wszystko, przeważała opinia, że list pozostawił ktoś z zewnątrz, tym samym zaczynając z policją grę o życie. Godziny wyłączenia alarmu zgadzały się z przypuszczalną godziną zgonu Teresy, ktoś musiał go włączyć ponownie gdy wychodził, a wtedy Teresa była już zapewne martwa.

Lekarz medycyny sądowej znalazł na ciele ofiary ślady pobicia. Prawy policzek był zaczerwieniony, co wskazywało na uderzenie. Na szyi widniał siny ślad, lecz jedynie z lewej strony, co wskazywało na duszenie. Wszystkie ślady były jeszcze analizowane. Czy doszło do walki pomiędzy nią a napastnikiem? Zadrapania były dość świeże. Należało zbadać trop, ale nie było wiadomo od czego zacząć.

Contradictio in se. Dlaczego właśnie ona? Teresa Wójcik. I ten znak. *Contradictio in se*. List nadal był analizowany. Pomoc zaproponowała stołeczna komenda policji, która miała większe doświadczenie w badaniu dowodów niż policjanci z Lubaczowa.

Maria siedziała na powrót w samochodzie, prowadził Robert, a jego głowa kołysała się w rytm starego rockowego hitu wydobywającego się z radia. Jechali w kierunku Dachnowa, aby potem zboczyć z trasy i udać się w kierunku miejsca zamieszkania Teresy Wójcik. Przydzielono im zadanie przesłuchania świadków, jeżeli jacykolwiek tam byli. Istniała nikła szansa, że ktokolwiek coś widział. Na tych terenach zamieszkało wielu bogaczy, dla których priorytetem była prywatność. Nie interesowano się cudzymi sprawami, dzięki temu zapewniano sobie również własną anonimowość, a dalekie odległości nie sprzyjały nawiązywaniu bliższych kontaktów. Z map sporządzonych dwa lata temu, wynikało, że w pobliżu domu ofiary mieszczą się jedynie cztery działki budowlane, lecz nie posiadali wykazu, czy ktoś tam faktycznie mieszka.

Dojechali do Dachnowa. Była to mała wieś jakich wiele w tej okolicy. Maria pamiętała jak co roku przyjeżdżała tutaj ze swoim tatą na festyn organizowany z okazji pierwszego dnia wakacji. Była to atrakcja tego regionu. Dzieci bawiły się na karuzelach, a dorośli mogli usiąść ze znajomymi, napić się piwa i posłuchać dobrej muzyki w folkowych rytmach. Specjalnie na tą okazję produkowano miejscowy specjał – prawólkę. Ta słodkość była kupowana przez dzieciaki z okolicy na zapas, ponieważ była to jedyna okazja, aby zjeść te przepyszne, niezliczone bakalie zanurzone w miodzie i czekoladzie. Od kilku lat festiwal stał się dla Marii jedynie utrapieniem. Jako policjantka zawsze musiała dbać o porządek podczas tego typu imprez. Niestety zaistniały nowe problemy związane z napływem „zachodu”, pojawiły się narkotyki, które zakłócały aurę rodzinnego święta, co kiedyś było nie do pomyślenia. Wywołało to automatycznie falę niechęci i z obawy zaprzestano tak licznie przyjeżdżać. Ubolewał nad tym cały turystyczny biznes, który był dla wielu jedynym źródłem dochodu.

Skręcili w lewo.

– Podobna sytuacja była z Rasputinem – Robert zwrócił się do Marii.

„Zaczęło się”, pomyślała Kozielska. Była do tego przyzwyczajona, lecz nadal pozostawała w szoku po informacjach jakie usłyszała na komisariacie. Po raz pierwszy miała do czynienia z zabójstwem. To wszystko ją przerastało. Marek, jej mąż, nadal nie odpowiadał na telefony. Naprawdę się o niego bała. I z całym szacunkiem do wiedzy historycznej Roberta, nie widziała ani jednego podobieństwa pomiędzy mistyczną postacią Rasputina, którego pamiętała jak przez mgłę z lekcji historii w liceum, a Teresą Wójcik. Mimo to odwróciła wzrok w jego stronę i pozwoliła kontynuować.

– Rasputin, jak może pamiętasz, to mnich, który jest uważany za jeden z głównych czynników obalenia caratu Mikołaja II i wybuchu rewolucji lutowej w Rosji w 1917 roku – Maria oczywiście nie miała pojęcia, ale kiwnęła porozumiewawczo głową, jakby to, co powiedział, zgadzało się z jej wiedzą. – W rzeczywistości od początku XX wieku Rosja była pogrążona w wielkim kryzysie ekonomicznym i społecznym – kontynuował Robert. – Wojna rosyjsko-japońska, następnie wybuch rewolucji w 1905 roku jedynie pogłębił wzrost niechęci społeczeństwa do carskiego tronu. Na dworze pojawił się mnich. Mówiono, że ma wielką moc, że jego ręce leczą, a wzrok zabija. Zawędrował wysoko, bo stał się ulubieńcem żony Mikołaja II. Poznał najważniejsze sekrety carskiej władzy. Prowadził rozpustne życie, noce spędzał z prostytutkami. W chwilach upojenia często zdradzał tajemnice dworu. Wiedział jednak za dużo, przez co stał się niebezpieczny, nie tyle dla samego cara i jego żony, ale przede wszystkim dla możnowładców. Aleksandra Fiodorowna, żona Mikołaja, była gwarantem życia Rasputina. Plotki mówiły o romansie. Tajemniczość Rasputina była jego wielką zaletą. Choć nie był przystojny...

– Nadal nie widzę podobieństwa – przerwała mu Maria widząc, że zaczyna się rozkręcać. On mógł tak godzinami.

– Bo widzisz, Rasputin został zamordowany. Do dziś nie wiadomo kto za tym stał. Działo się to w czasie bardzo burzliwym dla Rosji. Niepowodzenia w walkach I wojny światowej spowodowały wystąpienia publiczne. Na ulice wyszli ludzie domagający się detronizacji Romanowa, a przecież Rasputin przepowiedział upadek caratu. Wywołało to ogólne przerażenie w kręgach monarchistów, głównie tych młodych, którzy liczyli na wielką karierę polityczną. Wszystkim były znane zdarzenia, które potwierdzały dar przepowiadania przyszłości przez Rasputina. Doszło do zamachu. Krąży plotka, że pomimo kilkudziesięciu strzałów Rasputin dalej żył, nie dało się go zabić – przez ciało Marii przeszedł zimny dreszcz. – Był to początek fali zabójstw. Choć nie jest to w żaden sposób udowodnione, stał za tym morderca działający z wyrachowaniem. Wszędzie pozostawiał karteczkę, w pewnym sensie podobną do tej jaką pokazano nam na komisariacie, gdzie rosyjska krużganka mówiła o tym, że zabójca działa dla wspólnego dobra, a jego czyny nigdy nie powinny i nie będą dostrzeżone przez przepisy prawne. I faktycznie. W tym burzliwym dla Rosji okresie, kilkanaście zabójstw nie zostało dostrzeżonych, zabójca nigdy nie został odnaleziony. Rasputin stał się jednak legendarny, a jego śmierć była zwyczajnie próbą sił dla seryjnego mordercy.

– Uważasz, że to jest dopiero początek? – odezwała się Maria z lekkim przerażeniem. Wolą nie wnikać w tajniki wyobraźni Wysockiego, porównanie śmierci Teresy Wójcik z zabójstwem Rasputina było dla niej zbyt wielką abstrakcją.

– Jestem przekonany. Znaleźliśmy się w środku gry, tyle, że to nasz rywal dalej posiada piłkę, a my nie mamy pojęcia jak ją mu odebrać – odparł Robert.

ROZDZIAŁ 4

TEN LAS BYŁ TAKI NIEPRZENIKNIONY. Jako mała dziewczynka zawsze bała się zapuszczać w głąb puszczy. Bieszczady kryły tajemnice, raz powierzona tajemnica pozostała ukryta tutaj na zawsze.

Tereny te zostały wcielone do granic Polski po wojnie polsko – rosyjskiej po I wojnie światowej. Pokój w Rydze unormował przynależność tych bezkresnych lasów do państwa polskiego, ale zacofanie i duże odległości zniechęciły do lokowania się na tych ziemiach. Migracja pozioma zwykle polegała na przesiedleniach z niewielkich wsi do dużych metropolii.

W niedalekiej odległości mieściły się wzniesienia Bieszczad, które stały się azylem dla wielu osób w okresie PRL. Działacze opozycyjni byli często prześladowani przez służby bezpieczeństwa, a brak możliwości wyjazdu za granicę wymusiło szukanie miejsc odosobnienia w dziczy. Takie określenie przylgnęło to południowo-wschodniego okręgu Polski. Lasy wykorzystywano jako żywą kryjówkę, stanowiły idealne miejscem do schronienia. Choć niewiele o tym wiadomo, regiony te stały się zapleczem wypoczynkowym dla wielu gwiazd show biznesu i polityków, którzy szukali odpoczynku od natarczywej prasy.

Każdy mógł znaleźć tutaj to, czego potrzebuje. Właściciele rozległych ziemi wiedzieli jak przyciągnąć ludzi. Proponowali niewielkie działki, często znakomicie ukryte w lesie. Gwarantowali anonimowość, a lokalni mieszkańcy również nie protestowali. Napływ ludzi umożliwiał wzrost kapitału, który był bezwzględnie ważny dla tej części Polski określanej mianem Polski B.

Kozielska lubiła w wolnym czasie kontemplować ten sielski spokój. Problemy wychowawcze i małżeńskie, które nasilały się wraz z dłuższym stażem, zachęcały ją do długich spacerów, gdzie mogła sobie wszystko przemyśleć. Maria miała swoje ulubione miejsce. Gdzieś daleko... gdzieś, gdzie nikt inny jej nie dostrzeże. Lecz tutaj nigdy nie była.

Zostawili radiowóz przed domem ofiary. Droga asfaltowa zakończyła się już dawno. Zastąpiła ją kręta i nierówna leśna dróżka. Nie było problemu z dojazdem pod dom Teresy Wójcik, ale żeby jechać dalej, był im potrzebny wóz terenowy, którego posterunek w Lubaczowie nie mógł im zapewnić. Pozostałe cztery domy, jeżeli zawierzyć mapom, mieściły się jednak jeszcze dalej, a Robert widząc stan drogi, która biegła dalej, postanowił zostawić samochód i iść pieszo. Pierwsze dwa domy okazały się zupełnie puste. Jeden był bardzo stary. Maria wątpiła, aby ktokolwiek go w ostatnich latach zamieszkiwał. Drugi dom był nowy, wybudowany zapewne w ostatnich latach. Zadbany. Robert dla upewnienia się przeszedł przez płot i sprawdził, czy rzeczywiście nikogo tam nie ma. Korespondencja sięgająca trzech tygodni wstecz upewniła ich, że w tym domu nie mieszka nikt, kto mógłby być świadkiem wczorajszych wydarzeń.

Jeśli ufać intuicji Roberta, Teresa była pierwszą ofiarą, a miały być kolejne. List pozostawiony na miejscu pierwszego zabójstwa wskazywał na to, że zabójca nie boi się policji i liczy na dobrą zabawę. Maria nie miała pojęcia co jest dla niego motywacją. Nieformalną lekturą podczas jej edukacji przystosowującej do służby policyjnej, było psychologiczne podejście do napastnika, co wnikliwie

i rzetelnie opisywała książka Stanisława Werskla. Przyszli funkcjonariusze często błaho podchodzili do tego tematu, często śmiejąc się, że wystarczy im dobra spluwa i kilka ton amunicji. Maria miała do tego inne podejście. Nie była dobra w strzelaniu, wytrzymałość i siła nie były jej dobrą stroną. Zwykle wolała sobie zjeść batonik niż uprawiać sport, chociaż zwykle bieganie. Podejście psychologiczne było dla niej ciekawe, dlatego lektura Werskla często przedłużała się, skracając nieubłagane czas przeznaczony na sen. Autor starał się udowodnić tezę, że łatwiej schwytać zabójcę formując jego portret psychologiczny. Wtedy można zrozumieć jego działania, a nawet przewidzieć kolejne posunięcie.

Maria w podświadomości wyobraziła sobie swojego przeciwnika. Nawet nie wiedziała, czy miała do czynienia z mężczyzną, czy kobietą. Historia pokazała, że płeć nie ma większego znaczenia. To kobiety często okazują się bardziej przebiegłe i zdolne do wyrzeczeń, byle osiągnąć zamierzony cel, nie zawsze zgodny z obowiązującym prawem. Kto będzie kolejną ofiarą? Jeśli Robert miał rację, równie dobrze mogła się nią stać ona sama. Domyślała się, że wiadomość pozostawiona przez zabójcę jest kluczem do rozwikłania zagadki. Pytanie jak tą wiadomość można przetłumaczyć. Miała wrażenie, że ktoś za bardzo wziął sobie do serca książki Browna, bo zabawa w symbole do niej nie przemawiała.

Contradictio in se

Kozielska stanęła z Robertem przy rozwidleniu. Za nimi, w niedalekiej odległości, wciąż widzieli dom, który zdążyli przed chwilą odwiedzić. Teraz stanęli przed wyborem. Skręcamy w prawo czy w lewo? Rozdzielili się. Doświadczenie zawodowe mówiło Marii, że zawsze lepiej działać w zespole. Tyle, że jej historia jej służby nigdy nie postawiła jej w takiej sytuacji i to, co się działo, było swoistym precedensem. Sama pozostawała pod wpływem filmów i książek. Kiedy bierze się udział w akcji, dochodzi do strzelaniny, zawsze przyda się wsparcie. Dodatkowo postać świadka zawsze potwierdzi potencjalny raport. W jej przypadku broń była tylko dekoracją.

Szła teraz powoli. Nierówna droga, pełna wystających ostrych kamieni, gałęzi, dziur i wyskoków była niedostępna dla zwykłego samochodu. Maria wolała nie domyślać się, jak duży jeep był potrzebny, aby możliwy był tutaj dojazd do posesji. Dziwny lęk ogarnął Kozielską. Gęsty las nie dopuszczał żadnych promieni słonecznych. Pod swoimi stopami słyszała trzask pękających gałązek, który rozchodził się echem po bezkresnej puszczy. Straciła z oczu Roberta. Po plecach przeszedł ją zimny dreszcz. Zapięła służbową kurtkę pod szyję i bacznie obserwowała każde potencjalne ryzyko.

Wszędzie czyha zło...

Maria zaśmiała się pod nosem. Czego się obawiała? Przecież tutaj nikogo nie było. Nagle usłyszała głośny pisk. Obróciła się w przerażeniu odpinając kaburę, żeby odbezpieczyć swojego policyjnego glocka. To był tylko jakiś ptak.

Tylko ptak.

Taki błahy dźwięk wystarczył, aby jej serce zaczęło bić mocniej niż zwykle. USPOKÓJ SIĘ KOBIETO! Otarła kropelki potu z czoła.

Jej oczom ukazał się piękny, duży dom. Wykonany był z drewna, zawsze marzyła aby w takim zamieszkać, ale cieszyła się z tego, co ma.

Kolejny dom bogacza. Z zainteresowaniem spojrzała w stronę okien, ale nie dostrzegła żadnego ruchu. Podeszła do furtki. Przez niewielkie szpary w płocie dostrzegła drzwi wejściowe. Nacisnęła przycisk domofonu. Oniemiała. Przy domofonie zainstalowana została wbudowana mikrokamera. Maria widziała takie na targach policyjnych. Były one wykorzystywane przede wszystkim przez służby wywiadowcze, jednak zyskały uznanie i znalazły zastosowanie w przy instalacjach antywłamaniowych.

Brak odpowiedzi. Nacisnęła przycisk jeszcze raz. Wydawało jej się, że widzi jakiś cień za oknem. Może tylko jej się wydawało. Dostrzegła tył dużego samochodu terenowego, który zaparkowany był za domem. Nacisnęła przycisk domofonu jeszcze raz. Trzymała dłużej, chyba za długo, bo drzwi otworzyły się z hukiem. Maria zrobiła dwa kroki do tyłu. Wiedziała, że nie zostanie tutaj mile przywitana. Lasy były anonimowe. Przede wszystkim cisza i spokój. Nikt nie życzył sobie tutaj nieproszonych gości, tym bardziej policji. Mimo wszystko, kiedy Maria zobaczyła twarz właściciela, przestraszyła się. Wiedziała z kim ma do czynienia, każdy by wiedział. Żałowała, że zgodziła się na rozdzielenie z Robertem. Za późno było na wzywanie Wysockiego, sama musiała zmierzyć się z mecenasem Okulickim.

– Słucham?! – adwokat zmierzał do furtki, gdzie stała. Na jego twarzy malowała się furia.

– Dzień dobry...

– Zaraz się okaże czy taki dobry! – odchrząknął Okulicki.

Mecenas Władysław Okulicki. Postać mistyczna. Automatycznie przed oczami Kozielskiej pojawiła się postać Rasputina z opowieści Roberta. Adwokat miał za sobą wiele sukcesów. Pracował przez długi czas w stołecznej Warszawie. Maria słyszała o jego karierze – bronił największych zbirów oraz bardzo wpływowych ludzi. Okulicki zawsze osiągał zamierzony cel. Przygotowanie i nonszalancja zaskakiwały prokuratorów, którzy nie mieli ani szans, ani wystarczającej elokwencji, aby sprzeciwić się inteligentnie dobranym argumentom. Kozielska sama do końca nie знаła historii schyłku jego kariery. Podobno sprzeciwił się mafii i uciekł gdzieś, gdzie nikt nie miał go znaleźć. Wcześniejsza gburowatość została zastąpiona podwojonym wstrętem do bliskiej mu rzeczywistości. Równie dobrze wszystkie te informacje mogły być wyssanymi z palca legendami. Maria sama nie wiedziała, czy może im zawierzyć. Teraz ta sława polskiej palestry stała przed nią. Komendant Głowala był swego czasu bliskim przyjacielem Okulickiego. Wszyscy funkcjonariusze zostali poinformowani o jego pobycie na tych terenach, ale bliższe informacje o miejscu zamieszkania były nieznane.

Nieoficjalnie było wiadomo, że to właśnie do Okulickiego należy miejscowy tartak. Posiadanie monopolu na wyrąb drzew gwarantowało dostatek. Firma „Tartex” była prowadzona przez braci Dąbek, jednak sam Robert, który dorabiał sobie na tartaku jako student, wspominał Marii o częstych

wizytach mecenasa. Niezaprzeczalnie był to człowiek o wielkiej władzy, którą potrafił wykorzystać. Przede wszystkim dla własnych celów.

– Nazywam się Maria Kozielska. Jestem funkcjonariuszem poli...

– Przecież widzę, jest pani w mundurze – odburknął Okulicki. Podeszedł do furtki. Z bliska wydawał się niższy – Czego pani chce!? Ja tutaj policji nie prosiłem.

Maria już go nie lubiła. Zawsze starała się być wobec wszystkich neutralna, przynajmniej na początku. Ale ten facet zwyczajnie ją wkurzał. Nie chciała mu dać tej satysfakcji, aby nią pomiatał.

– Chciałabym z panem porozmawiać – powiedziała twardo.

– Ja bym chciał pogadać sobie z Cameron Diaz i Nicole Kidman – Okulicki zaśmiał się pod nosem. Chyba faktycznie roześmieszyla go jego, o jakże śmieszna riposta, bo śmiechu nie było końca.

– Mogę wejść? – Kozielska zignorowała przytyczkę mecenasa.

Okulicki zawahał się. Marii wydawało się, że zaraz poszczuje ją psami, które w oddali zaciekle ujadają. Ku jej zdziwieniu, mecenas jeszcze raz spojrzął na odznakę, która już prawie wyslizgnęła się z jej spoconej ręki i lekko uchylił furtkę.

Znalazła się w przestrzennym holu. Na ścianach wisiały poroża, które zapewne pochodziły z upolowanej zwierzyny. Usiadła na skórzanej sofie. Rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się jak mecenas radzi sobie w samotności. Majętny kawaler, playboy. Brak wzmianki o jakichkolwiek związkach, a tak duży dom i tak wiele przestrzeni. W myślach zobaczyła swój własny zagracony domek. Choć był mniejszy od rezydencji, w której właśnie się znajdowała, to często okazywał się zbyt duży. Wtedy właśnie prosiła mamę, aby przyjechała, posiedziała z nimi.

Rodzina jest najważniejsza.

Okulicki usiadł na fotelu. Maria wyczuła zapach kawy dochodzący z kuchni. Aromat migdałowy. Aż się rozmarzyła. Kochała kawę, a przede wszystkim jej smak. Oczywiście z dużą ilością mleka. Było już po jedenastej. Już tak późno, a od szóstej na nogach. Mecenasa jednak nie zaproponował nic do picia. Pozostało obejść się smaczkiem. Maria obiecała sobie, że pierwsze, co zrobi jak wróci na posterunek, to wypije cały dzbanek.

Na ścianach salonu wisiały obrazy. Kozielska nigdy nie interesowała się sztuką, wszystko oceniała w wymiarze „ładne - brzydkie”. Obrazy u mecenasa były... inne. Maria nie doszukała się ani jednego pejzażu, widoku martwej natury. Królowała abstrakcja. Nie były to jednak nowe obrazy. Niczym nie przypominały nowoczesnej wystawy obrazów nowoczesnych, którą odwiedziła w ramach integracji policjantów województwa podkarpackiego. Tam nawet nie próbowała się domyślać, „co autor miał na myśli”. Były to jedynie zlewające się nawzajem smugi. Podobno to sztuka, podobno to piękne, podobno to metaforyczne odbicie naszej rzeczywistości, ale Maria z całym szacunkiem dla artystów XXI wieku, uważała, że przedawkowali, albo zwyczajnie żyją w innej rzeczywistości i przestrzeni niż ona.

Obrazy w salonie Okulickiego były inne. Było widać tam ludzkie twarze. Im dłużej policjantka spoglądała na obrazy, tym bardziej była przerażona tym, co widzi.

To były ludzkie twarze w godzinie śmierci.

Oczy zamknięte, przymknięte, wytrzeszczone. Usta zakrwawione, sine. Nosy obdarte, brudne, złamane. Maria zerknęła na twarz Okulickiego. Czy on był normalny? Uśmiechał się pod nosem widząc zdziwienie i przerażenie Marii na widok obrazów.

– Czym mogę szanownej pani służyć? – mecenas wydał się niecierpliwy, mówił z arogancją, jakby czas poświęcony na tą rozmowę z góry był skazany na stracony.

– Nie wiem czy pan wie, ale doszło ostatniej nocy w okolicy do morderstwa.

– I? – na Okulickim słowa Marii nie zrobiły większego wrażenia.

– Chcemy się dowiedzieć, czy może pan coś wie na ten temat, może pan widział coś podejrzanego.

– Jedyne co podejrzanego widzę, to że jakiś policjant próbuje przeskoczyć moją furtkę – Maria dostrzegła małą czerwoną diodę, która migła intensywnym światłem.

Mecenas wyszedł i po chwili przyprowadził ze sobą Roberta. Scena ta wywołała u Kozielskiej rozbawienie. Gdy Okulicki wprowadzał jej młodszego partnera ze służby trzymał go za ramię. Wściekły adwokat trzymał w garści policjanta na służbie, który był bliski płaczu.

Po pięciu minutach Maria i Robert wyszli z domu Okulickiego z pustymi rękami. Mecenas nie powiedział im nic, co mogłoby przynajmniej częściowo pomóc rozwikłać zagadkę morderstwa. Nadal byli bez niczego. Dom, w stronę którego poszedł Robert okazał się pusty. Maria miała tego wszystkiego dość. Okulicki czuł się bardzo pewnie na swoim terytorium i Kozielska miała świadomość, że nawet gdyby ten stary adwokat coś wiedział, to i tak by nic nie powiedział.

Z pamiętnika filozofa

Ta pani. Podobno miała wypadek. Codziennie przechodzimy ścieżkami, których historii wolelibyśmy nie znać. Staramy się omijać niebezpieczeństwa, ale jest to nieuniknione. Boimy się bólu, niewiedzy i... śmierci. Jesteśmy tchórzami, ale właśnie to czyni nas ludźmi. Dopiero bez lęku zaczynamy myśleć nieracjonalnie, co bardziej naraża nas na jakiekolwiek niebezpieczeństwa.

Ten pan. Znowu tutaj był. Jak dobrze widzieć znajomą twarz. Jak dobrze usłyszeć głos przyjaciela. Jest to bardzo pozytywne uczucie. Najbardziej nam go brakuje, kiedy jesteśmy sami, w nowym środowisku, gdzie każdy może być potencjalnym wrogiem, gdzie nikt nie należy do twoich znajomych. Dlatego proponuję wznieść toast za przyjaciół. Może w końcu kiedyś ich docenisz.

Jako, że zbliżamy się do finału, proponuję godnie zakończyć nasze filozoficzne przemyślenia. Jako, że żyjemy w Polsce, jedyne czego nam nie brakuje to chmielu i trzciny, proponuję wyciągnąć flaszkę. Choć jest to potwierdzeniem stereotypu Polaka – pijaka, to przecież mamy dobrą okazję do wspólnego napicia się. No już. Nie ukrywaj się. Przecież wiem, że nie jesteś abstynentem. Nie pękaj. Ze mną się nie napijesz!?

Pierwsza kolejka. Proponuję wzniesć toast za kobiety. W końcu to one są inspiracją do robienia czegokolwiek w naszym życiu. To właśnie one determinują nasze zachowania, zaczynamy się starać i mamy motywację dla kolejnych wyzwań.

Druga kolejka. Za wspomnienia. Choć nie zawsze są piękne, choć nie zawsze chcemy je pamiętać, one będą zawsze, i będą stanowić najsmaczniejszą lekcję naszego życia. Niezmiennie, na zawsze. I może to jest właśnie najpiękniejsze.

Trzecia kolejka. Tym razem toast za ciebie. Albo raczej za twoją wytrwałość. Dobrze, że jesteś tutaj, wciąż czytasz te literki. Gdzieś tam już zarysowuje się ostatnia kropka. Jest jeden problem. Koniec oznacza rozstanie, a dobrze mi z tobą, potrzebuję obserwatora, który doceni moje czyny.

Korniszonek.

Czwarta kolejka. Za życie. Żebyśmy nauczyli doceniać się to, co mamy, póki jeszcze nie jest za późno. Wciąż narzekając, pesymistycznie patrząc na świat, tracimy czas. Mogę ci dodawać otuchy, powtarzać, że potrafisz zrobić wszystko. Ma to sens, ale tylko w pewnym wymiarze. Możesz ugotować jajecznicę, wybudować dom, urodzić potomstwo. Jednak jeśli chcesz zmienić świat, ty jeden to trochę za mało.

Co za tym idzie...

Piąty toast za to, żeby jednostka miała również możliwość zmiany wizerunku naszej codzienności. Choć może to być trochę i nasz mózg nie pracuje już na najwyższych obrotach (tak to jest, jak pijemy tylko we dwójkę), proponuję poprzez wypicie szóstej kolejki anulować tę piątą.

Przecież wyobraźmy sobie świat, gdzie każdy jest architektem. Wszyscy są szczęśliwi. Jednak wszechobecna boskość sprawia, że wszyscy są równi i kiedy chcemy pokazać, jak piękni i cudowni jesteśmy, spotyka nas jedynie rozczarowanie.

Ups... kończy się.

Zatem ostatnia kolejka. Pozwolę sobie zasugerować. Za tą filozofię, żeby można ją było kiedyś nazwać lekcją pokoleń, niedopracowanym świadectwem geniuszu autora. I chyba najważniejsze, żeby przetrwała, może w twoich wspomnieniach, może na półce, ale jej byt będzie świadectwem na to, że nie wszystko jest przemijalne.

A jako żeby końcówka nie była tak sentymentalna, jako, że dżentelmeni po alkoholu nie piją, proponuję zjeść korniszonka.